ROZMAITOŚCI.

Dnia 11 kwietnia, Ner 15. roku 1846.

BANKIER Z WOSKU.

W pierwszych dniach lata r. 1824, leżał jakiś mężczyzna w łóżku, stojącém w jednym z pokojów hotelu Meurcie w Paryżu. Leżał on i spał; oddech jego był lekki, jednostajny i świadczył o śnie spokojnym. Jego delikatne i regularne rysy miały wydatną cechę brytańskiego pochodzenia i brytańskiéj piękności. Jasne włosy, upstrzone gdzieniegdzie nieznacznémi kosmykami siwizny, otaczały gładkie, i jak marmur połysne czoło; wokoło obłecznéj twarzy wił się symetrycznie i starannie pielęgnowany *collier grec.* Byłto albo jakiś Anglik albo posąg jego: byłoto koniecznie jedno lub drugie.

Jakož byłto wistocie prawdziwy Anglik i z piérza i z mięsa, i nazywał się p. Piotr Lowter. Już od roku bawił on ciągle w Paryżu, i uchodził pomiędzy swoimi znajomymi za dziwaka, co jeszcze nie znaczy tyle, jakby przez to samo miał już być i zabawnym. Oto jego codzienny sposób życia: O jedynastéj godzinie wstawał, jadł śniadanie i ubiérał się wybrednie z wielką starannością; o dziesiątéj godzinie w wieczór szedł do Fraskati i grał tam aż póki sali nie zamknięto; zawsze grał wysoko i zawsze przegrywał; od czasu jak dawno to życie prowadził, przegrał on zapewne ogromną sumę. Niektórzy domniemywali się, iż to jest jakiś lord z izby wyższéj, podróżujący pod przybranem nazwiskiem; inni mieli go za krewnego słynnego bankiera tegoż nazwiska w Londynie. Krupijerowie byli najmniéj ciekawi i tylko zagartywali jego gwineje, nie troszcząc się wcale o jego stopień w społeczeństwie.

Uderzyła godzina jedenasta. Umyślnie ustawiony budziciel zegarowy, wszczął łoskot. P. Piotr Lowter otworzył oczy i powlókł zimném, wstrętném spojrzeniem po pokoju. W téj chwili zaświeciło słońce przez zasłony u okna.

»Znowu nié ma mgły!» mruknął Anglik, jakby w nadziejach zawiedziony.

Poczém rozkołysawszy się ze snu, wstał z najsystematyczniejszą powolnością, wdział na siebie szlafrok i zajął się zwykłémi drobnostkami porannéj toalety. Ukończywszy to należycie, dobył pary pistoletów, nabił każdy dwiema kulami, i zadzwonił, aby mu przyniesiono śniadanie..

Gdy się już najadł i napił, odsunął się obojętnie z krzesłem poręczowém od stołu, i sięgnął obiema rękoma po pistolety. Twarz jego okazywała zupełną spokojność i obojętność, policzki jego były pełne i świéże, ubarwione lekkim rumieńcem, jakby właśnie malarzowi do odwzorowania służyć miały.

Opatrzywszy spokojnie zamki pistoletów, obrócił się p. Piotr Lowter tyłem ku słońcu i przyłożył sobie obiedwie lufy do skroni, ale w téjże chwili, gdy już miał za sprężynę pociągnąć, przyszło mu coś do głowy.

»Ten niedbalec zapomina mi zawsze dać piórek do zębów» — mruknął Anglik z niechęcią. »Dick!»

Na to grube słowo — Dick — pokazał się we drzwiach chudziutki, wygłodniały, do wyścigów spreparowany *groom*, figura krótkiego rozmiaru, ważąca nieco mniéj

niż niewielki baranek. Piotr Lowter kazał mu naprzód, aby sobie poszedł do diabła, a potém zlecił mu przynieść paczkę piórek do zębów. Podczas gdy *groom* z wykonaniem drugiéj części rozkazu się pospieszył, pan jego rozparł się w krześle i zamyślony przypatrywał się malowanemu stropowi pokoju. Przedmiot jego dumań był ponuro-filozofijny. Poniewolnie musiał on sobie wyznać, iż owe cztéry kule w pistoletach, mogłyby były daleko stosowniéj, niż rozkaz przyniesienia piórek do zębów, próżnią poprzedniéj chwili wypełnić, — że odwłoka ważnego i chwalebnego uczynku, nie jest godną prawego gentlemana. Ztémwszystkiém czekał na piórka, gdyż dla Anglika samobójstwo traci trzy czwarte części swoich wdzięków, jeźli barometer na pogodę wskazuje.

Ci, którzy mniemali, iż pan Lowter jest kuzynem sławnego bankiera londyńskiego, mylili się; pan Lowter nie był kuzynem jego, lecz samymże bankierem, i jako jedyny twórca swego losu, zjednał był sobie w przeciągu lat piętnastu kredyt nieograniczony. W roku 1823, on jeden miał więcéj interesów, i to najznakomitszych, niż dziesięciu jego kolegów. Mówiono sobie, iż musiał niezmierne, bajeczne skarby posiadać, a jego spółzawodnicy, nie mający więcéj jak tylko po ośm lub dziesięć milijonów majątku, ginęli z gniéwu i zazdrości.

Wszakże mimo to wszystko, szczęście a Piotr Lowter, byłyto dwie zupełnie nieznane sobie istoty. Powinien on się był wprawdzie dwójnasób cieszyć majątkiem, gdyż zaznał przedtém niemało biédy. Miał on dobrą i miłą żonę, miał śliczną córkę, która mogła być dumą każdego ojca; żył w nieustannéj jaśni, na słońcu życia, i właśnie to zbytnie szczęście zaczęło rozkorzeniać w nim trapiącą nudę, zaczął się z samym sobą waśnić, dostał splinu i powziął szczególniejszą odrazę do swéj rodziny, do swego domu, do całego powszedniego, jednostajnego życia. Z początku skusiło go rzucić się w zamęt modnego, wielkiego świata i zaćmić wszystkich londyńskich feszoneblów. Mógłby to był łatwo uczynić, bo kasa jego była niewyczerpanie zamożna, lecz w takim razie byłoby trzeba się ruszać, zwijać, natężać, a pan Lowter, który już z urodzenia był gnuśnym, i którego tylko żądza złota na jakiś czas zgalwanizować zdołała, wzdrygnął się na samę myśl tak nadzwyczajnych trudów. Przytém poważał on wielce swoję żonę, chociaż jéj cierpieć nie mógł. Przez tyle lat miano go za wzór cnotliwych ojców rodziny, nacóż więc miał teraz niszczyć tę sławę, zwłaszcza iż ona jego kredyt wspiérała.

Ale bądź co bądź, musiał on przecież zwalczyć czémś tego nienawistnego sępa, który mu wnętrze pożérał. Nie umiejąc sobie zaradzić, wziął się z rozpaczy do gry. Szczęśliwy we wszystkich przemysłowych zabiegach, nie miał szczęścia do kart. Przegrywał i przegrywał nieustannie, a przeto, co mu z początku zabawką było, zamieniło się z czasem w nieuleczoną namiętność. W grze jak i w miłości, pomyślny skutek jest najlepszém lekarstwem, a nieprzychylność fortuny, ma również silny pociąg jak miłosna przebiegłość zalotnicy; gdyby Piotr Lowter był wygrywał, nasza powiastka byłaby się już skończyła.

Wszakże jego namiętność wzmagała się coraz bardziéj, i przełamała wreszcie wszelkie tamy; przegrał najprzód wszystko co miał w kasie, potém wszystkie ulokowane sumy, w końcu, ograniczony na główny kapitał banku, mógł tylko to strwonić, co mu wielki dochód jednego dnia przynosił. Przyszedłszy do tego stopnia, zaczął jeszcze bardziéj się nudzić.

Téj codziennéj szulerce nie oddawał się Piotr Lowter w towarzystwach salonowych, ani też w którym z uprzywilejowanych domów. Nie, wybrał on sobie do tego pewną odległą, brudną gospodę, gdzie go nikt poznać nie mógł. Jakoż namiętność jego była tajemnicą dla wszystkich, a nawet dla jego żony. Spędzał on wprawdzie noce i większą część dnia za domem, ale podczas gdy on się zgrywał, myśleli wszyscy, iż p. Lowter jest pracą swego powołania zajęty. Pani Lowter

miała oczywiste, niezbite dowody, że mąż jéj ciągle bawi w gabinecie, bo go prawie zawsze »widziała.« Co to słowo ma znaczyć, wytłómaczymy to późniéj.

Jedna tylko osoba była na świecie, która miała zaufanie pana Lowter, a tą osobą był Toby, stary sługa, gadatliwy z natury, lecz gdy chodziło o sprawy pańskie, jak grób milczący. On jeden dopomagał panu Lowter w zachowaniu najściślejszego sekretu, zresztą mieli go wszyscy za cud wytrwałości w pracy.

W powietrzokręgu londyńskiego przestworza panuje zaraźliwa *malaria*, która nagaba do samobójstwa. Wracając w nocy do domu, musiał Piotr Lowter zawsze około Tamizy przechodzić. Jednego razu stanął on przy poręczy i przechylił się w rzekę, spoglądając z osobliwszém upodobaniem w głąb wody. Czas był zimny, bankiera przejął dreszcz chłodny, a przeto owinął się dobrze płaszczem i poszedł spieszno do domu, lecz odtąd ile razy Tamizę sobie przypomniał, zawsze jakaś rozkoszna drżączka go przenikała, podobnie smakoszowi, gdy ujrzy lub sobie wspomnie pasztet przewyborny. Zanadto flegmatyczny, aby dwie namiętności zarazem żywił, zobojętniał pan Lowter w zamiłowaniu do gry, a zapalał się coraz namiętniejszą żądzą samobójstwa, a to owego rodzaju samobójstwa, które długo naprzód obliczamy i którego z błogiém uczuciem oczekujemy. Dla wykonania téj upragnionéj myśli, był Londyn wcale nieodpowiedném miejscem; pan Lowter potrzebował do tego zupełnéj swobody, a używany dotąd wybieg łudzenia pani Lowter i świata, okazał się nadal niedostatecznym.

Nie znamy jeszcze wprawdzie tego wybiegu, lecz byłto wcale niegłupi. Nie chcemy przeto powiedzieć, aby nasz bankier lepszego środka zaradczego nie mógł był znaleźć, lecz pan Lowter nie był jednym z ludzi, którzy zbyt bujną w pomysły wyobraźnią celują. Zresztą, o cóż tu więc chodziło? Chciał tylko czasu i samotności, aby zwolna, po kropli, słodką czarę samobójstwa wychylić. Opuścił zatém Londyn i zostawił swojéj żonie bilecik w formie testamentu, od tych słów się zaczynający:

„Gdy to pismo w ręce twoje się dostanie, już mnie nie będzie na świecie. Nie czyń daremnych zabiegów dowiedzieć się, co się ze mną stało i t. p.“

Aby to należycie zrozumieć, trzeba wiedzieć, iż to nie było umyślném kłamstwem, lecz tylko prostą pomyłką w rachubie czasu. Pan Lowter napisał naprzód, co się dopiero późniéj stać miało. Zostawiwszy tę ostatnią wiadomość o sobie, odjechał sam, nie biorąc nawet swego zwykłego powiernika, Toby, którego już nie potrzebował, i tak został dla wszystkich nieboszczykiem.

Celem jego przedśmiertnéj wędrówki był Paryż. A jako żaden Anglik niczego bez rozwagi i wyrachowania nie czyni, tak też i Piotr Lowter, przygotowywał się długo do tego kroku, to jest, zebrał znaczną sumę pieniędzy i przybył z pełnym puilaresem do Francyi. Stanąwszy w Paryżu, oddał się znowu grze namiętnie, i jak zwykle, przegrywał. A że teraz strata każdego dnia, nowym zasiłkiem z kasy już zastąpioną być nie mogła, przeto skarb pana Lowter cieńczał z nadzwyczajną szybkością, a śmierć zbliżała się coraz spieszniejszym krokiem, i to już nie śmierć dobrowolna, ale konieczna. Tém dziwniejszą jest rzeczą, iż z tego stanowiska konieczności na zamierzoną śmierć się zapatrując, Piotr Lowter coraz mniéj ochoty do niéj uczuwał.

Nie zważając jednak na to, grał bez ustanku, pracował systematycznie nad swoją zgubą, a wiedząc, ile jeszcze w puilaresie ma do stracenia, wiedział oraz ile jeszcze mniéjwięcéj dni do życia mu pozostaje.

Dniem przed owém przebudzeniem się ze snu, któreśmy czytelnikowi na początku opisali, przetrząsł p. Lowter po raz ostatni swój puilares, i znalazł tam ową tajemnicę, z któréj cały świat powstał, to jest — nic.

Piotr Lowter chciał umrzéć; zwłaszcza iż w obecnym razie nic innego uczynić nie mógł; wszakże byłoby go bardzo cieszyło, gdyby jaki słuszny powód do życia mógł był znaleźć. Owoż w téj okropnéj chwili stanęła mu przed oczyma jego żona, przypomniał sobie, jakby we śnie, swoję piękną, kochaną córkę Annę. Dla czegoż on je opuścił?

Wtém nadszedł Dick z piórkami do zębów. Tuż za nim wstąpił do pokoju jakiś młody, słuszny mężczyzna, który z widoczną niespokojnością ku bankierowi się zbliżył. Na widok pana Lowter wymknęło się jego ustom lekkie, prawdziwie z angielska zaintonowane: »Oh!« Groom obrócił się, i ozwał się także mimowolnie „Oh!“

„Dziwnie!“ mruknął nowoprzybyły.

»Mój panie« — rzekł Lowter, wskazując ku drzwiom — „ja pana nie znam.“

Młodzieniec zaczerwienił się nieco, lecz nie wyszedł

»Nazywam się Robert Stevenson« rzekł on, kłaniając się z uszanowaniem przed bankierem.

Bankier milczał.

„Czy pan nawet nazwiska mego nie znasz?“ przemówił gość na nowo.

„Zapewne jakaś pomyłka“ — ozwał się pan Lowter. „Zróbmyż raz koniec temu.“

»Dziwna!« — powtórzył Robert, mierząc bankiera wzrokiem wielkiego zdumienia. „Nie mamże

szczęścia widzieć przed sobą pana Piotra Lowter, bankiera, z Oxford-street, w Londynie?»

Pan Lowter skinął na grooma, aby wyszedł.

»Zkądże to pytanie?» rzekł, zamykając drzwi.

»Zkąd?» — zawołał młodzieniec — „W istocie, zaczynam mniemać, iż to była tylko pomyłka. Wpan nie miałeś wprawdzie — chcę mówić pan Lowter nie miał wprawdzie zwyczaju znać osobiście swoich komtuarowych pracowników, wszakże myślałem, iż będzie przynajmniéj wiedział, jak się jego piérwszy ajent nazywa.»

»Ach!» zawołał nasz bankier, na którego teraz koléj zadziwienia przyszła, a który jednak to zadziwienie po mistrzowsku swoją wrodzoną powolnością ukryć umiał — »Więc pan Lowter nie umarł?»

Robert parsknął ze śmiéchu, a potém rzekł:

„Przepraszam pana; masz pan zapewne słuszność gniewać się na mnie, ale racz wybaczyć. Jako! Wszakżeto pan sam jesteś pan Lowter.»

Pan Lowter potrząsł niechętnie głową, w znak zaprzaczenia.

„Nie — ? — Ha, więc mógłbym przysiądz, iż większe podobieńswo pod słońcem zdarzyć się nie może... Zresztą, jestem w istocie nierozsądnym! Jakimżeto sposobem mógłbyś pan być panem Lowter, moim pryncypałem, kiedym ja przed trzema dniami w Londynie go zostawił, a wiém pewnie, iż on na tym samym statku parowym się nieznajdował, którym ja tu przybyłem. Jakże więc mógłby mię był wyprzedzić?»

Piotr Lowter wysilał się na rozmaite wnioski i domysły, ktobyto był ten żyjący w Londynie pan Lowter, i przechadzał się dużémi krokami po pokoju. Robert, korzystając z sposobnéj pory, chciał się szybko oddalić.

»Panie Robert Stevenson» — ozwał się teraz bankier — »znałem ja niegdyś bardzo dobrze mojego imiennika pana Lowter, bankiera z Oxford-Street, i mocno się cieszę że jeszcze żyję... ale, czy jużeś po śniadaniu, panie Stevenson?»

Po kilku chwilach siedzieli nasi obadwaj synowie Albionu przy dobornie zastawionym stole, naprzeciw siebie. Dzięki osobliwszéj własności rozciągania się, jaką mają wszystkie żołądki angielskie, zdołał bankier dotrzymać równowagi swemu gościowi, który był młodym, nie zbyt głęboko myślącym i lubił drugim się udzielać. Gdy już lodowa skorupa niedowierzania pękła, gdy się nieco bliżéj zapoznano, opowiedział gość bez ogródki, iż jest synem pana Stevensona, bankiera w Edymburgu i korespondenta domu Lowter. Będąc od sześciu miesięcy piérwszym komisantem tegoż domu, zakochał on się w miss Annie, najstarszéj córce swojego prryncypała. Pani Lowter zdaje się sprzyjać téj miłości, panna Lowter nie okazuje niechęci — lecz oto ten niegodziwiec Tomasz Bage wszystko w niwec obraca.

Co się tycze samego bankiera, tedy nie wiedział Robert, co o nim sądzić. Jestto dziwak w najwyższym stopniu! Robert przybył do Paryża w celu odebrania sum niektórych, usłyszał tu w hotelu nazwisko bankiera i kazał sobie opisać człowieka, który nazwisko to nosił.

„Podobieńswo tego opisu do osoby mojego pryncypała, było uderzające» — zakończył Robert swoje opowiadanie — »ten sam wiek, wzrost, tożsamo ułożenie — i na honor! czém więcéj w pana się wpatruję.... Ale dajmy już temu pokój. Z początku nie miałem to za rzecz niepodobną, zdybać się z moim pryncypałem, a życzyłem sobie tego témbardziéj, iż jeszcze nie miałem nigdy szczęścia z nim mówić.»

„Jakto!» zawołał Piotr Lowter — „od sześciu miesięcy?»

Odkorkowano właśnie trzecią butelkę *Porto.* Stevenson stawał się co chwila poufniejszym, a teraz oparł się łokciem o stół, przybrał tajemniczą minę, i rzekł mrużąc mistycznie oczyma:

„Domyślasz się pan, iż wtém coś osobliwszego być musi. Dziwne też rzeczy opowiadają sobie w Londynie....»

„A widzisz pan» — ozwał się prawdziwy Piotr Lowter— »pamięć moja mnie nie zawiodła, słyszałem mówiących, iż bankier Lowter umarł.»

»Umarł? To nic. Ale powiadają, że zwarjował.»

Piotr Lowter spojrzał niedowierzającym wzrokiem na Roberta.

»Niezawodnie» — potwierdził Stevenson — „a to nie przyczynia się do pomnożenia kredytu domu.»

„Ale zkądże ta wieść urosła?»

»Sam pan osądź: już od roku kazał się pan Lowter za śkło wsadzić.»

»Ale, co też!»...

„Muszę to panu jaśniéj wyłożyć: pan Lowter kazał w swoim gabinecie obok bióra wystawić ścianę śklanną, za którą można go widzić siedzącego; skoro jednak ktoś do pokoju wstąpi, wtedy odwraca on się natychmiast tyłem, i tak siedzi latem i zimą w swoim szlafroku.»

»I cóż tam robi?»

»To samemu tylko Bogu i Tomaszowi Bage wiadomo Niekiedy, gruba zasłona widzieć go nie dozwala, wszakże podług wszystkiego należy wnosić, iż po całych dniach w téj saméj trwa postawie. Za nadejściem nocy, Tomasz Bage, który sam jeden ma klucz do téj świątyni, wchodzi wewnątrz i zanosi tam światło i wieczerzę.»

»A zatém ten Tomasz Bage nie jest już więcéj piérwszym komisantem?»

»O, postąpił on teraz wyżéj, i jest spólnikiem, czy też czemsić podobném.»

„Rozumiem, podpisuje...”

„Broń Boże! pan Lowter sam podpisuje.”

„Do licha!” zawołał bankier z niezwykłém uniesieniem — »Radbym téż widzieć jaki podpis tego Piotra Lowter!”

Stevenson uraczył się był nieźle sniadaniem, a zwłaszcza jego płynną częścią, i niepostrzegł dziwnego zapału, jaki teraz bankiera nagle ogarnał.

„Nié ma nic łatwiejszego nad to” — rzekł do pana Lowter i wyjął z puilaresu list zastawny, wydany w Londynie przed trzema dniami. Pan Lowter pochwycił żywo pokazany sobie papiér i zaczął go na wszystkie strony obracać. Tymczasem zasępiło mu się czoło, i coś niezrozumiale mruknął.

„Niéma co mówić” — rzekł sam do siebie — „oto istotnie mój podpis, przynajmniéj bardzo zręcznie podrobiony... Ale kto też może być tym moim drugim ja, i odgrywać tak dobrze tę rolę, iż moi właśni domownicy zwieść się tém dają? — „Mój kochany panie Stevenson” — ozwał się w głos do gościa, otwiérając z łoskotem świéżą butelkę szampana — »bawisz mię nadzwyczajnie swojém opowiadaniem; więc proszę, mów daléj.”

»A gdzieżem przestał?” zapytał Robert — »Nie prawdaż? powiedziałem panu iż *miss* Anna jest najmilszą dziewczyną na całym świecie. Bo wyobraź pan sobie...”

„Mówiłeś pan o jéj ojcu, cóż on więc robi, gdy noc nadejdzie?”

„W nocy” — wyjąknał Stevenson niezrozumiale —»przynoszą mu jedzenie i na tém koniec...”

„A jé-ż on?”

„Zdaje się.”

„Widziałżeś pan to sam?”

»Nie, nigdy. Bage zapuszcza natychmiast zasłonę..... A muszę panu powiedzieć, że ten Bage podobnoś także o pannę Lowter się stara. Ale chyba po mojéj śmierci ją otrzyma.”

Pan Piotr Lowter nie zważał wcale na ostatnie słowa swego zakochanego gościa, lecz zaciérał ręce z zadowoleniem, a na jego ustach igrał radosny uśmiéch, jak u człowieka, który długo niepojętą tajemnicę przeniknął i pomyśine dla siebie odkrycie zrobił. Wszakże nie okazywał on tego widocznie, lecz owszem rzekł ponuro, półgłosem: „Otoż mamy!— A chociażbym dopiéro po pół roku miał sobie śmierć zadać, muszę wprzód zdemaskować tego niegodziwca, który moję rolę odgrywać się poważył.”

Tak więc znalazł się pozór do życia, i to, jak pan Lowter mniemał, bardzo przyzwoity.

Tymczasem Stevenson pozostał sam przy stole, pił zawzięcie i opisywał elegijnie wdzięki *miss* Anny. Nieznacznie zaczął mu się język coraz bardziéj plątać, słowa nie miały żadnego związku, a w końcu usnął.

Pan Lowter zadzwonił na grooma. Zaniesiono Stevensona na łóżko, gdzie przez noc całą spał spokojnie Przebudziwszy się zrana, ujrzał się samotnym. Cały pokój był do niepoznania zmieniony, biórko stało otwarte i próżne, wszystkie sprzęty były w nieładzie, jak po nagłym odjeździe. Na stole ujrzał Stevenson zapieczętowany list pod swoim adresem; otworzył go czémprędzéj i wyczytał w nim tylko słów kilka:

„Otrzymałem od pana Stevenson 300 funtów szterl. i list zastawny téjże saméj wartości, prócz tego dwa banknoty po 200 funtów — razem 1000 funtów szter.

P. Lowter, Oxford-street, w Londynie.”

Robert sięgnął spiesznie po swój puilares, i znalazł go wypróżnionym. Wrócił więc do stołu, czytał po raz drugi pozostawiony kwit, przetarł sobie oczy i nie wiedział w końcu, czy mu się to śni, czy jest na jawie.

»To on!” zawołał wreszcie młodzieniec — „nie podobna jest niepoznać jego własnoręcznego podpisu! Chciał mi dać małą nauczkę... ale jakże do licha mógł on mię wyprzedzić z przyjazdem do Paryża?”

W téj chwili wszedł jakiś posługacz gospody.

„O któréj godzinie przyjechał ten pan, który tu mieszkał?” zapytał Robert.

Służący spojrzał nań z zadziwieniem. Stevenson musiał powtórzyć pytanie.

»Jeżli pan o panu Lowter mówisz” — odrzekł wreszcie posługacz — „to już rok i kilkanaście dni temu, odkąd on w tym pokoju zamieszkał.”

Robert ogłupiał.

»A zatém nie on to był” — rzekł do siebie po długiém milczeniu. „Zapewne byłto sam diabeł.”

Nieco zaspokojony tym mądrym wnioskiem, wysypał Stevenson na stół wszystko co miał w kiesce i naliczył tam właśnie jeszcze tyle, ile było potrzeba, aby wrócić do Anglii.

* * *

Dom pana Lowter w Londynie był prawdziwym pałacem. Cały dolny szereg pokojów zajmowały ogromne biura, utrzymane z zadziwiającą schludnością i napełnione tłumem posługaczów komtuarowych. Na piérwszém piętrze znajdował się gabinet samegoż bankiera, który Stevenson nam opisał. Gabinet ten wychodził po jednéj stronie do głównego bióra, po drugiéj zaś, do dawnéj komnaty pani Lowter, którą teraz Tomasz Bage zamieszkiwał. Pani Lowter przeprowadziła się z rodziną na drugie piętro.

W kilka dni po opisanéj powyżéj scenie, spoczywała żona bankiera na szezlongu, a tuż przy niéj siedziała Anna i przeglądała w roztargnieniu przepyszne album. Umeblowanie małego saloniku, w którym obie damy się znajdowały, przechodziło

zbytek prywatnych ludzi, było ono prawdziwie królewskie; chyba tylko ze względu na piękność panny Lowter zdawało się, iż ono nie mogło być zanadto świetne

Pani Lowter była kobietą nie starą, mającą jakich lat 40, lecz rysy jéj twarzy miały w sobie coś bolesnego i świadczyły o mnogich przebytych cierpieniach. Od czasu do czasu spoglądała ona ukradkiem na swoję córkę, a natenczas łza występowała w jéj oku.

„Zdaje się” — rzekła Anna — „jakby pan Stevenson długo na wiadomość o sobie czekać dawał.”

„Wszakże dopiéro ośm dni jak odjechał” — nadmieniła matka.

„Ośm dni” — powtórzyła dziewczyna — „to czas długi.”

Co rzekłszy, zakryła sobie Anna twarz książką, jakby się jéj żal zrobiło tego co rzekła.

„Ona go kocha” — pomyślała sobie matka. „Biédne dziecię!”

Wtém otworzył służący drzwi od salonu, i oznajmił pana Bage. To nazwisko a wkrótce potém i należąca doń osoba, zdały się na obu damach również nieprzyjemne wrażenie sprawiać. Pani Lowter zmarszczyła się, ustom jéj wykradł się lekki wykrzyk, bynajmniéj dla nowo przybyłego gościa nie pochlebny. Pan Bage był nadzwyczajnie brzydki. Na twarzy jego malowały się chciwość i samolubstwo, a cała postać odrażała niezgrabną gburowatością. Wszedł dość śmiało do salonu, skłonił się zlekka damom i rzucił duże portfolio na stół.

„Niech mię Bóg skarze” — zawołał Bage — „jeżli nieprawdę mówię, że *miss* Aanna codziennie ładniejszą.”

Na ten komplement nic damy nie odpowiedziały. Bage zwrócił się do matki.

„Przystąpmy do rzeczy!” rzekł z niegrzeczną miną. Anna zrozumiała go i odeszła. Bage otworzył portfolio, zawierające różne papiery i listy bez podpisu. Pani Lowter wzięła pióro i podpisała wszystko, nie czytawszy.

„Ten głupiec, Steveson, nic nie donosi” — rzekł Bage — „a tak ostatni środek zapomogi nam ginie.”

Pani Lowter zadrżała

„Czyż nie ma już żadnéj nadziei?” rzekła.

„Ja, nie mam żadnéj” — odpowiedział zapytany z lodowatą obojętnością.

„Jako! tak wielki kredyt...”

„Wszystko się zczasem zużywa, prócz mojéj miłości. W saméj istocie, wierzaj mi pani, nieraz myślę sobie, że *miss* Anna mię oczarowała.”

To mówiąc zaczął Bage z zadowoleniem zacierać sobie ręce. Pani Lowter nie była w stanie ukryć wzgardy dla jego postępowania.

„Alež” — rzekła po chwili — „Robert, uczciwy człowiek; nie ma wątpienia, iż odbierze sumy, których potrzebujemy; będziemy je mieli w krótkim czasie....”

„Kilka tysięcy liwrów! To ledwie na dwa lub trzy dni wystarczy. Czyś pani nie rozważyła jeszcze planu, który jéj przedłożyłem?”

„Przyszliśmy więc na żebry!” zawołała pani Lowter z boleścią.

„Niestety, moja kochana pani.”

Pani Lowter powstała; na jéj twarzy pałał przelotny rumieniec, z jéj ócz patrzyła wzgarda i nienawiść.”

„Pan przychodzisz żądać ode mnie ręki mojéj córki” — rzekła drżącym głosem. „Niegdyś mieliśmy ogromny majątek, a pan byłeś tylko sługą mojego męża. Teraz pan masz milijony, a my jesteśmy ubodzy. Polegając na tém, iż masz do czynienia z kobiétą, która była twoją spółwinowajczynią, przystępujesz do niéj jako kusiciel i mówisz: odbiorę ci twój majątek, wybiéraj nędzę lub hańbę — i żądasz ręki mojéj córki.”

Tomasz Bage milczał przez chwilę a potém rzekł z urąganiem:

„Na honor, jestto prawda wszystko, co pani tu powiadasz. Odebrałem ci majątek i mam go teraz w moim ręku. Co zaś do ręki twojéj córki, téj sobie wcale odmówić nie dozwolę.”

„Nie! przenigdy!” zawołała matka — „byłam nierozważną i winną, lecz uczyniłam to dla mego dziecięcia; i gdybym to dziecię panu dała....”

„Natenczas to dziecię miałoby świetny dochód, a ty pani pensyję przyzwoitą.”

„Przenigdy!” powtórzyła pani Lowter.

„Moja droga pani” — ozwał się Bage spokojnie — „Wprowadzasz mię zawsze w smutną konieczność przypominania ci pewnych niemiłych rzeczy. Co ja z majątkiem uczyniłem, nie mogęż ja uczynić tego i z córką pani?”

„Nie będzież pan tak nikczemnym.”

„Czy nikczemny, czy nie nikczemny, uczynię to przecież. Kocham córkę pani namiętnie, więcéj nawet niż to ze zdrowym rozsądkiem się zgadza; pani mi jéj dać nie chcesz, a ja panią jedném słowem zniszczyć mogę; toż więc słowo sprowadzi córkę pani w ramiona tego, który jéj pragnie.»

Pani Lowter była jakby gromem rażona. Bage wziął portfolio ze stołu, wstał i rzekł:

„Pozwalam pani namyśléć się jeszcze do jutra.”

Poczém skłonił się z lekka i wyszedł.

(Dokończenie nastąpi.)

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 14ty i zawiéra: 1) O uprawie lnu i przysposobieniu przędziwa podług

sposobów używanych w Belgii i Niemczech. (Przez wydawcę). 2) O wystawie płodów przemysłowości w Wiédniu. Przez Józefa Żywickiego. (Ciąg dalszy.) 3) Powidła z buraków i marchwi na omastę dla czeladzi. 4) Sposób aby krowy dawały obficie mléka. Wiadomości handlowe.

Dziennika mód paryzkich pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 7my i zawiéra, prócz mód następujące szczegóły: 1) Zora. Powieść z życia, napisana w roku 1834. 2) Wiersz. Z Manfreda Bajrona. 3) Dziwactwo mody. Zdarzenie prawdziwe.

Wymiana osobliwości naukowych. Uczony francuzki Vattemer, znany także pod imieniem Aleksander jako brzuchomowca, który i tu we Lwowie swoją zadziwiającą sztuką niegdy się popisywał— zajmuje się obecnie uorganizowaniem systemu wymiany wszelkich osobliwości naukowych, jakoto rzadkich ksiąg, dokumentów, rękopismów, naturaliów — między zakładami naukowemi Francyi a krajów zagranicznych. I tak np. podług jego listu do ministra oświecenia, ma księgozbiór Mnichowski zawiérać 200.000 dubletów, Petersburski 54.000, Wiédeński 30.000, pomiędzy którémi wiele inkunabułów; księżnica Wrocławska posiada kosztowny rękopism Froissarda, Mnichowska 5ty tom gminnego romansu *»Les quatre fils Aymon»* — a przeciwnie zakład w Dyżonie przechowuje rozmaite dokumenta panującéj rodziny Sabaudzkiéj, za które król Sardyński wszystko chętnie w zamian-by ofiarował. Pan Vattemer zebrał te wszystkie wiadomości w swoich biblijograficznych podróżach po różnych krajach, i był właśnie przed niedawnym czasem w tym celu w Północnéj Ameryce gdzie wszystkie pojedyncze państwa natychmiast wszelkie koszta wymiany na siebie przyjęły. Jakoż wymieniano w ten sposób między Francyją a Stanami Zjednoczonemi 6000 tomów, 300 kart jeograficznych, 240 rycin, 150 medalów, i t. d. Do należytego rozszerzenia swego systemu we Francyi, zażądał skromny uczony od izb tylko 3000 franków zasiłku.

Dzienniki londyńskie, prócz zwykłych politycznych doniesień z kraju i z zagranicy, podają czytelnikowi dokładny przegląd wszelkich codziennych nowin i zdarzeń miejskich, i oszczędzają mu przeto trudu, czasu i pieniędzy, jakichby osobista obecność jego wymagała. Czytelnik siedząc sobie po skończonéj pracy, wieczorem przy kominku, zasięga z gazety daleko dokładniejszéj wiadomości o zaletach lub wadach ostatniéj nowej komedyj lub trajedyi, opery lub krotochwili, niż gdyby sam do teatru się był trudził. Jeźli tego dnia jaka publiczna uroczystość się odbywała, tedy na szerokim i długim arkuszu gazetowym idzie wszystko w tymsamym porządku przed jego oczyma, w jakim je mistrz ceremonii prowadził. Tenże sam numer gazety opisuje mu z równą podrobnością wszelkie owe wyborne jadło, które na uczcie u lorda-majora było zastawione, jako i wszelkie mniéj wyborne rzeczy, które tamże mówiono. Jacy modnisie z zachodniéj dzielnicy Londynu na balu *Almaks* najświetniéj wystąpili, lub jacy we wschodniéj dzielnicy jako protektorowie balu na wsparcie kominiarzy przewodzili— dziennik to wszystko z dyplomatyczną wiadomością zapisuje. Dla szczególnéj zabawki czytelnika, gazeta za pomocą ogłoszeń policyjnych i procesowych, zawiadamia go o najdrobniejszych domowych i pieniężnych stosunkach i kłopotach sąsiadów. Narody otrzymują nowych władzców, trony wznoszą się i upadają, dynastyje wymiérają, bitwy się toczą i długie wyszczególnienie zabitych i rannych na świat wychodzi— jedynie dla rozrywki czytelnika. Rozpustne życie w Stafford-House pobudza go do gniewu i zazdrości, lecz wiadomość o dwóch lub trzech wyrobnikach, którzy w Spitalfields z głodu umarli, jedna go na nowo ze swoim losem. Nieszczęśliwe przypadki, swary, bankructwa, doniesienia o porwaniu panien lub nagłéj śmierci zdrowiutkich ludzi, utrzymują go w ciągłym ruchu umysłowym, aż zacznie czytać główną, rozumującą rozprawę, któréj głębokie uwagi o duchu czasu, nieznacznie w sen go ukołyszą. Nazajutrz rano, przy śniadaniu, podają mu świeży numer dziennika, a wtym mikrokozmie pojawia mu się nowy widok świata i życia.

O sympatyi i antypatyi roślin. Starożytna filozofija natury mówi o sympatyi niektórych roślin, jak np. jabłoń granatowych i drzew myrtowych, a antypatyi między innemi: jak np. między rozmarynem a lawendą, wawrzynem a tymijanem i t. p. Nowsi badacze przyrody wykrykli właściwą przyczynę téj mniemanéj sympatyi i antypatyi i tłumaczą ją sobie w następujący sposób: Dwie rośliny, żywiące się tymże samym gatunkiem soku, jeźli zbyt blizko siebie stoją, ujmują sobie na przemian soków, i wzajemnie sobie tem szkodzą; przeciwnie dwie rośliny, potrzebujące do swego wyżywienia dwojakich, różnych soków, zgadzają się wcale z sobą, i pięknie rosną i kwitną.

Testament lady Holland. Zmarła niedawno lady Holland, słynna ze swego szlachetnego sposobu myślenia i patryjotyzmu, przeznaczyła w testamencie roczny dochód 60.000 złpol. a oprócz tego kapitał 280.000 złpol. na cel naukowej pomocy, i poleciła przyjacielowi swojego męża, lordowi John Russel, wydać przechowywane w jéj rodzinie pamiętniki sławnego ministra Foxa. Muzeum brytańskie otrzymało testamentem od lady Holland powszechnie podziwianą tabakierę tolentyńską z prześliczną rzeźbą »pasącéj się kozy.» Tę kosztowną relikwiję darował był niegdyś papież Pius VI jenerałowi Napoleonowi Bonapartemu po jego wyprawach włoskich. Napoleon przesłał ją późniéj z wyspy św. Heleny dla spaniałomyślnéj lady, wraz z własnoręcznym listem, w którym jéj za okazaną mu podczas jego niewoli życzliwość dzięki składa. Tabakiera i autograf zostały już w muzeum brytańskiém złożone.

Annihilator ognia. Niejaki Filipps w Londynie wynalazł maszynę do gaszenia ognia bez użycia wody i nazwał ją annihilatorem ognia. Ta maszyna jest napełniona parą gazową, mającą bliższe powinowactwo z kwasorodem powietrza, niż ten z wodorodem i węglanem. Istotny wszakże skład rzeczy, jest dotąd jeszcze tajemnicą wynalezcy. Ponieważ tedy ogień, w zwykłém znaczeniu tego wyrazu, przez połączenie się kwasorodu (pośrednika spalenia) z wodorodem (żywiołem płomienia) i węglanem (żywiołem światła) powstaje, z zatem bez kwasorodu ogień trwać nie może, przeto też wpuszczony z maszyny w ogień gwałtowny prąd pary, tak szybko ten ogień gasi, iż pożar całego okrętu, który Filipps dla próby na Tamizie podpalić kazał, w przeciągu sekundy przytłumionym został. Każdy z łatwością pojmie, jaką zmianę to odkrycie w dotychczasowych środkach gaszenia ognia sprawi. Maszyny p. Filippsa dają się użyć zarówno przy wielkich pożarach, jako też przy wszczynającym się dopiéro ogniu.

Filantropija. Pewien lekarz Wejmarski przedłożył pruskiemu ministerstwu spraw zewnętrznych następny wniosek do obostrzenia pensylwańskiego systemu odosobnionych komórek po więzieniach, z którymto systemem ma w Berlinie próba być uczyniona. 1) Zatkać więźniom usta plastrem. 2) Dać im na oczy zasłonę lub mały po bokach przylepiający się plastrzyk. 3) Włożyć im w uszy poduszeczki napełnione łojem. — Gdyby ich jeszcze za pomocą umyślnie nato robionych kaftaników do tego stopnia skrępować można, iżby żadnych znaków dawać nie byli w stanie, tedy system odosobnienia dostąpiłby najpożądańszéj doskonałości. — Ministerstwo pruskie odłożyło, jak się rozumie, ten wniosek *ad acta*; my zaś radzimy, odosobnić też i pana lekarza na jakiś czas w ten sposób, a może wymyśli wtedy jakie narzędzie, któremby odosobnionych więzniów także od myślenia powściągnąć można.

Co kraj to obyczaj. Obecnie bawi w Paryżu nabob indyjski Twaug-Hor, który swojemi ogromnemi bogactwy, jakoteż bajecznym prawie przepychem całą stolicę mody zaślepia. Niedawno wyprawił on bal, może najkosztowniejszy jaki kiedy w Europie widziano, na którym procz innych niezliczonych zadziwiających przyborów, dla przyjemności dam urządzona była loterya, składająca się z przeszło 800 losów, wygrywających prawdziwe szale kaszmirowe po kilkaset czerwonych złotych wartości. Otoż ten grzeczny nabob zakochał się śmiertelnie w niejakiéj pani D. Widywał on codziennie u niéj trzech mężczyzn, a wrodzona jego bystrość umysłu oświeciła go natychmiast o stosunkach dwóch z tych panów: jeden był przyjacielem domu, drugi zaś chciał nim zostać. Tylko obecności trzeciego, jakiejś nadzwyczajnie oziębłéj osoby, bawiącej krótko, mówiącej mało, bardzo ugrzecznionéj dla naboba, a obojętnéj dla pani domu, i równie też obojętnie od niéj przyjmowanéj — nie mógł sobie nabob żadnym sposobem wytłumaczyć. Bo i jakże Nie-Europejczyk, a zwłaszcza Indo-Chińczyk, miał po tych znamionach poznać — małżonka? Można sobie wyobrazić zdziwienie naboba na tę wiadomość. Wszakże jako człowiek światowy nie stracił przytomności umysłu, i rzekł do małżonka: »Przebacz pan, nie znam obyczajów europejskich, sądziłem iż żona twoja jest wolną; gdybym był wiedział, iż jesteś jéj małżonkiem, byłbym tobie najpiérwszemu wyznał, że wdzięki pani D. nadzwyczajne wrażenie na mnie sprawiły. Jednak w obecnych okolicznościach, nie poważyłbym się za nic w świecie rościć sobie jakiś prawo do twéj własności, i chcieć cię w jakikolwiek sposób pokrzywdzić, bo chociaż obyczaje są różne, przecież obowiązki są wszędzie też same. Gdybyś jednak dla tak rzadkich wdzięków mógł zobojętnieć, tedy możeby ci nie było niemiło zastąpić sobie kim innym to miejsce, które pani D... obecnie w twoim domu zajmuje, a natenczas, wierzaj, iż nieżalby mi było, poświęcić pół majątku, i oddać jéj moję rękę.» — Rozumie się, iż pan małżonek mocno się tem obraził i naboba przez swojego przyjaciela domu na pojedynek wyzwał. Nabob stawił się o wyznaczonym czasie, lecz nie przyniosł z sobą innéj broni, jak tylko dwa sztylety, które zwykle za pasem nosił. Powitawszy swojego przeciwnika, podał mu nabob sztylety i rzekł: »Wybieraj. U nas w Chinach jest zwyczaj, iż przy pojedynkach, obaj przeciwnicy brzuchy sobie sztyletami rozpruwają, a ja nie widzę wcale, aby wasz europejski zwyczaj był rozsądniejszym. Zaczynaj więc; ja, nieomieszkam.» — Małżonek nie chciał w żaden sposób przyjąć tego rodzaju zadośćuczynienia, i dotąd jeszcze nie załatwiono téj sprawy.

Pobożny myśliwy. Amadej IX, książę Sabaudzki nazwany dla swojéj waleczności i bogobojności »Szczęśliwym» — będąc raz przez jednego z dworaków zapytanym: »Czy trzyma psiarnią?» — otworzył drzwi prowadzące do bocznego pokoju i wskazał tam na mnóstwo ubogich ludzi, którzy przy długich stołach kosztem jego żywieni byli. »Oto moje pieski» — rzekł książę — »któremi sobie niebo chcę upolować.»

Nowy rodzaj głuchoty. Niedawno rzekł ktoś do pewnéj damy w Paryżu: »Czy wiadomo też pani, że Chateaubriand uskarża się na głuchotę?» — »Przywidzenie!» — odpowiedziała dama — »Ponieważ już nie słyszy, aby ktoś o nim mowił, przeto zdaje mu się, że głuchnieje.»

Sprzeczne powody smutku. Maxwell w swoich *»Peninsular Sketches»* opowiada: »Jednego razu w wojnie hiszpańskiéj za czasów Napoleona, uszykowała się była jazda angielska o pół (angielskiéj) mili od wojska francuzkiego, gdy wtem śród tumanu kurzawy jakiś dość znaczny oddział jazdy ku Anglikom się zbliżył. Znajdująca się przy korpusie angielskim brygada artyleryi portugalskiéj, dowodzona przez kapitana rodem Niemca, mniemając iż to Francuzi naciérają, rozpoczęła żywy ogień przeciw nieprzyjaciołom. Bomby portugalskie zdawały się pękać nad głowami naciérających, aż tu z tegoż oddziału, do którego strzelano, nadleciał cwałem oficer, dając znak chustką. Pokazało się, iż naciérający nie bylito Francozi, lecz Niemcy z oddziału Braunschweig-Oels, nieco podobnie jak Francuzi uniformowani. Na to biédny Niemiec, dowodzący artyleryją portugalską, był w wielkiém strapieniu i wciąż narzékał: »Ach, ja nieszczęśliwy, przelałem krew moich walecznych rodaków!» — Śród tak żałośnych lamentów nadbieżał drugi oficer z oddziału Braunschweig-Oels, których zwyczajnie *owls*, sowami, nazywano, i pocieszył strapionego kapitana artyleryi zapewnieniem, iż ani jeden żołnierz od jego strzałów nie zginął. To powiększyło jeszcze bardziéj smutek kapitana, zmieniając zupełnie powód tegoż smutku, gdyż jeżli go wprzódy przelanie krwi rodaków smuciło, tedy teraz nieprzelanie téj krwi, czyli inaczéj: artyleryjna niezręczność jego, o mało do rozpaczy go nie przywiodła.»

Ciężka próba. Niedawno temu założyły się cztéry podeszłe damy, iż odegrają 10 robrów wista, nie przemówiwszy ani słowa. Jakoż rzeczywiście przez całe cztery godziny żadna się nie odezwała, lecz widać było, jak naprzemian to bladły, to się rumieniły. Wszakże po skończonéj grze, w skutek nadzwyczajnego wstrzymania się od miłego nałogu, trzy damy padły natychmiast omdlałe.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.